

CIEPŁA, OPTYMIZMU I SOLIDARNOŚCI ŻYCZY W ŚWIĘTA REDAKCJA POLITYKI



14, 19 Rozmowy na święta



32 Mazowszanki



35–49 Niezbędnik współczesny



102 Seriale o życiu po życiu

Temat tygodnia

- 10 Joanna Cieśla, Ryszarda Socha
Strajk nauczycieli: szach i pat

Rozmowy na święta

- 14 O. **Paweł Kozacki**, dominikanin,
o tym, jak trudno być dziś katolikiem
19 Prof. **Andrzej Friszke**, historyk,
o podzielonej polskiej duszy

Polityka

- 23 Mariusz Janicki, Wiesław Władka
Wiosenne rozszady polityczne
26 OGLĄD I POGLĄD Marek Migalski
Szturm urn

Społeczeństwo

- 29 Violetta Krasnowska
Pani Basia – strażniczka Prezesa
32 Edyta Gietka **O prawdziwych
melodramatach w Mazowszu**

NIEZBĘDNIK

- 35 Maciej Okraszewski
Jak wybrano brexit
40 Tomasz Szlendak
Postchłop w Polsce i Polaku
44 Edwin Bendyk, Piotr Rutkowski
**A gdyby internet
przestał działać...**
47 Dr hab. **Bogdan Jaroszewicz** o tym,
jakich tajemnic strzegą drzewa

Rynek

- 50 Joanna Solska
Wracamy do eko-drobieu?
53 Adam Grzeszak
**Kolekcjonerzy starych
samochodów**
Świat

- 58 Jędrzej Winiecki
Komiccy u władzy
61 Filip Gańczak NIEMCY
**Przemysłowców rozliczenia
z przeszłością**
64 Dariusz Kałan WĘGRY
Akcja prokreacja

Historia

- 66 Sylwia Frołow
Kobiety na rosyjskim tronie
69 Sławomir Leśniewski
Jak Hiszpanie podbili Meksyk

Nauka

- 74 Michał Różyczka
Kosmos dostrojony do życia
78 Paweł Walewski **Polski projekt
– bioniczna trzustka**

Ludzie i style

- 88 Edyta Gietka
Odzież katolicka dla pań i panów
91 Aleksandra Kozłowska
Obserwatorzy nietoperzy

Kultura

- 98 Piotr Sarzyński
Podróże z Leonardem da Vinci
101 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
102 Aneta Kyzioł
Serialowe duchy
105 Marek Bieńczyk o swojej
książce „Kontener” i ścieraniu się
w nas życia i śmierci

Na własne oczy

- 116 Piotr Sarzyński **Jak PRL
chciała pokazać się światu**

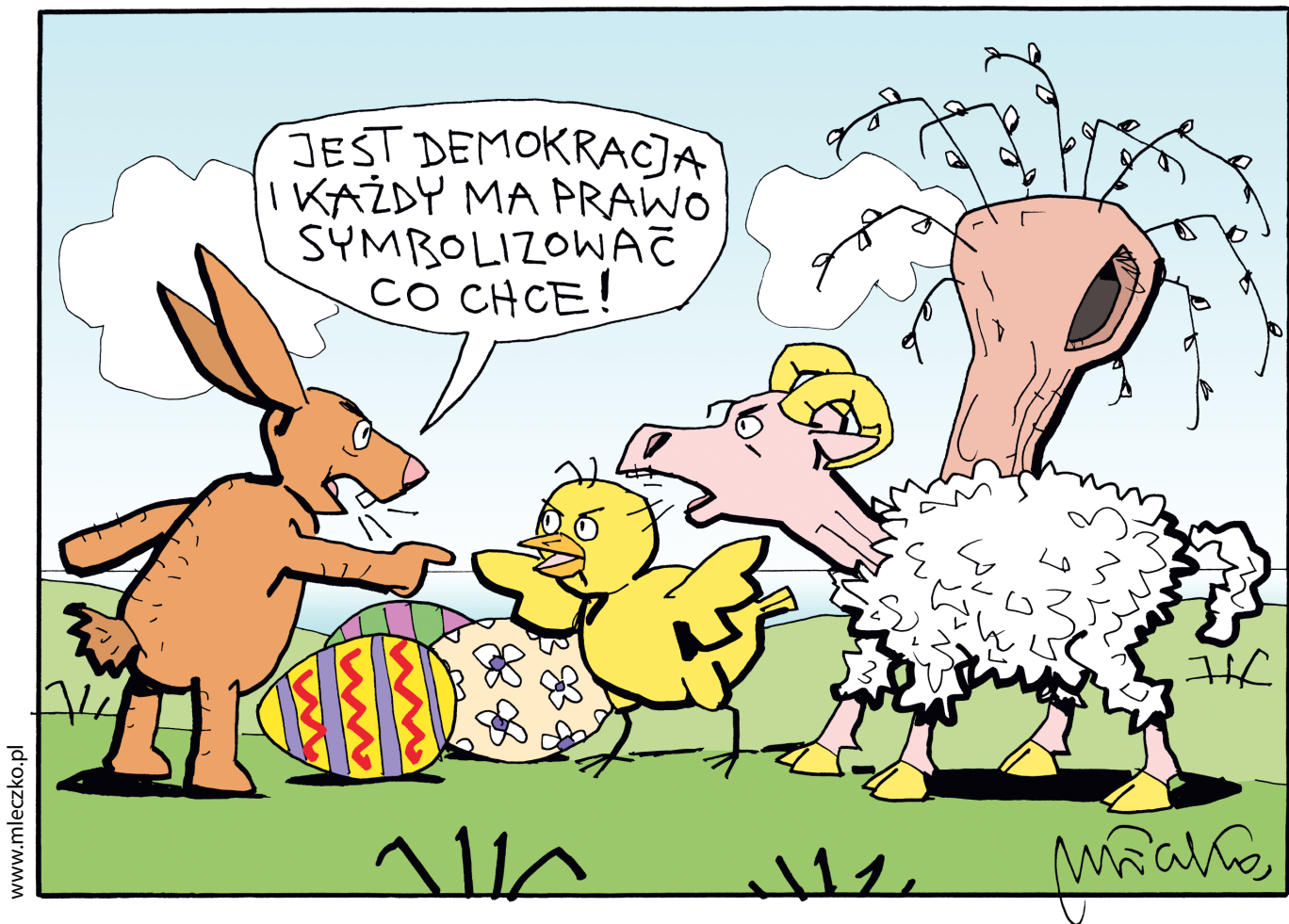
Felietony s. 4, 108–113
Afisz s. 94



19 KWIETNIA
rocznica
Powstania
w Getcie
przypomina
Marian Turski s. 75.

UWAGA CZYTELNICY!

Następny, podwójny numer
POLITYKI na majówkę ukaże się
w **środe 24 kwietnia**
i będzie w sprzedaży
przez dwa tygodnie,
do **wtorku 7 maja**.



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Pracowity funkcjonariusz idei

Marszałka Stanisława Karczewskiego podziwiam za to, że nie kluczy, nie owija w bawełnę, tylko wali prosto z mostu, że w przeciwieństwie do nauczycieli jest człowiekiem idei, i że dla idei jest w stanie zrobić wiele, np. pracować. „Powinno się pracować dla idei. Ja pracowałem dla idei, pracuję dla idei i będę pracował dla idei”, poinformował.

Wygłaszając tę opinię, Karczewski wyglądał na odprężonego i bardzo z siebie zadowolonego, co świadczy o tym, że praca dla idei mu służy. Oczywiście na ideach trzeba się znać, bo nie z każdej idei da się wyżyć. Karczewski, jak wiadomo, żyje z idei głoszonych przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego i tak się akurat składa, że żyje dostatnio i do tych idei nie dokłada. Trudno zresztą mieć o to do niego pretensje, bo skoro pracuje nie dla pieniędzy, tylko dla idei, być może w ogóle nie zauważa, że kasuje 20 tys. miesięcznie plus dodatki i dlatego szczerze się oburza, gdy ktoś go o coś takiego oskarża. Uważam, że skoro Stanisław Karczewski dostaje tak duże pieniądze, nie ma wyjścia i po prostu musi się z tym pogodzić. Musi pokazać, że jest gotów na wyrzeczenia i nie zrezygnuje z pracy dla idei nawet wtedy, gdy będzie dostawał za to 20 tys. miesięcznie. Trudno, taka praca.



Z drugiej strony rozumiem, że może mu się nie podobać postawa strajkujących nauczycieli, którzy, mimo że nikt nie proponuje im za pracę dla idei żadnych pieniędzy, i tak uparcie się ich domagają. I to w dodatku w sytuacji, gdy wiadomo, że jak ktoś chce mieć pieniądze, to broń Boże nie powinien być nauczycielem i pracować, tylko powinien mieć dużo dzieci, krów i tuczników, żeby w prezencie od prezesa Kaczyńskiego móc dostawać od każdej sztuki 100 do 500 zł na rękę.

Na koniec wyznam, że mam jednak do Stanisława Karczewskiego lekki żal o to, że zawstydza nas swoją bezkompromisową ideowością, doprowadzając do tego, że czujemy się przy nim jak bezideowe chytrusy-dorobkiewiczze. Nie wiem, jak strajkujący nauczyciele, ale ja, gdy słucham napomnień Karczewskiego, wyrzucam sobie, że zamiast poświęcić się idei tak jak on, dziennikarstwo uprawiam z egoistycznych pobudek i w celach zarobkowych. Wstyd mi tym bardziej, że – jak pokazuje wzruszająca historia życia Karczewskiego – jeśli poświęcić się pracy dla słusznej idei, duża pensja, plus dodatki, może przyjść sama. Do niego już przyszła, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że nauczyciele, zamiast strajkować, również nie powinni tracić nadziei.

Ostatni dzwonek



Jerzy Baczyński

Tegoroczne Świąta odbędą się w cieniu strajku. W każdej polskiej rodzinie są dzieci w wieku szkolnym, więc trwający już drugi tydzień masowy protest nauczycieli dotyka prawie wszystkich. W zasadzie jest niemożliwe, aby strajk wygasł przed Wielkanocą, nawet jeśli niektórzy nauczyciele i szkoły wrócą do zajęć. Fakt, że premier Morawiecki ostentacyjnie nie znalazł dotąd „czasu” na spotkanie ze strajkującymi nauczycielami, wyraźnie określa intencje władz. PiS ewidentnie liczy na złamanie strajku, zmęczenie i wątplenie strajkujących, rozbięcie solidarności między nauczycielami i szkołami. Liczy na skuteczną presję finansową, także na naciski rodziców, straszonych niedopuszczeniem dzieci do matur, „zawaleniem roku”, chaosem przy rekrutacji do liceów i na studia.

I zapewne dokładnie obserwuje sondaże. Na razie poparcie dla strajkujących rozkłada się według linii podziału politycznego. W elektoracie PiS trzy czwarte ankietowanych potępia strajk; dołącznie odwrotnie jest wśród potencjalnych wyborców antyPiSu. Ta polaryzacja jest zapewne dla Jarosława Kaczyńskiego kolejnym powodem, żeby nie ustępować.

Nie przypadkiem rusza właśnie, opłacana z publicznych pieniędzy, kampania promująca tzw. piątkę Kaczyńskiego. Bez względu na formę, przekaz będzie mniej więcej taki: dajemy pieniądze, ale to my sami decydujemy, co komu i kiedy. Jednocześnie cały aparat propagandowy partii dostał dyspozycje, aby – mających jednak jakiś moralny dyskomfort – codziennie przekonywać, że strajk jest zwykłą przedwyborczą akcją Schetyny, że nauczyciele, którym przecież rząd obiecuje podwyżki („do 8 tysięcy”, jak mówiła premier Szydło), są zmanipulowani przez postkomunistów z ZNP, że sprzeniewierzyli się zawodowej etyce, są egoistami, nieskłonni „pracować dla idei” – i co tam jeszcze komu przyjdzie do głowy i na język.

Wielu nauczycieli, wiemy, bardzo źle znosi te krzywdzące, często obrzydliwe ataki; są zaskoczeni, że można w taki sposób kłamać, pomawiać, poniżać. Na szczęście jest i druga strona: nie brakuje fantazyjnych, wzruszających gestów solidarności z protestującymi; rozkręca się zbiórka pieniędzy na społeczny fundusz strajkowy. Ważna stała się też samorządowa i rodzicielska samopomoc, przejmowanie opieki nad dziećmi, organizowanie im atrakcyjnych zajęć, także asysta w przeprowadzeniu egzaminów (odsylam do relacji naszych reporterów na s. 10). To ułatwia kontynuację strajku.

Odkąd przypuściliśmy się lepiej rozumieć PiS, wiemy jednak, że prezes nie da sygnału do odwrotu, zanim – już nie pamiętam czyja to metafora – nie będzie miał wody powyżej nosa. Kaczyński na ostatniej partyjnej konwencji nawet się nie zająknął na temat szkolnego strajku. Po raz kolejny mógł demonstrować „nienawistne milczenie”. Ale problemem nie jest sam Kaczyński, którego patologiczny styl uprawiania polityki znamy od dziesięcioleci, lecz to, że kilka milionów ludzi go popiera, a nawet – sądząc z masy internetowych wpisów – odnajduje w przyłączaniu się do nagonki na nauczycieli złośliwą satysfakcję. To kolejna „dobra zmiana”: w polskiej tradycji zawsze silny był odruch solidarności z protestującymi, popierania „strony społecznej” przeciw „stronie rządowej”. Kaczyńskiemu udało się niezwykłą sztuka: przekonał swoich zwolenników, że polityka to nie jest spór o sposób zarządzania krajem, tylko, w istocie, starcie moralne, gdzie każdy przeciwnik jest – jak

to zwerbalizował senator Bierecki – „niegodny należeć do naszej wspólnoty narodowej”. Bez końca snuta jest opowieść (także na lubelskiej konwencji PiS), że trwa starcie ludu, reprezentowanego przez PiS, z potężnymi, w gruncie rzeczy wciąż sprawującymi władzę elitami (nawet jeśli te elity zarabiają po 2 tys. miesięcznie, jak nauczyciele). Lecz głębiej tkwi jeszcze coś: sięgająca samych podstaw antyliberalnej rewolucji PiS, zasadnicza zmiana stosunku do wykształcenia.

Od narodzin III RP dominował w Polsce dogmat kształcenia jako najlepszej drogi do kariery i pozycji społecznej. Bez względu na liczne późniejsze rozczarowania, związane z inflacją dyplomów, do dziś nowa klasa średnia ma wręcz obsesję na punkcie edukacji swoich dzieci, doboru szkół, zajęć pozalekcyjnych, uzbrajania młodych ludzi w rozmaite kompetencje, które powinny im pomóc w odniesieniu życiowego sukcesu. PiS werbalnie nie potępia tych starań, ale w każdym niemal politycznym przekazie kwestionuje stojącą za nimi aksjologię: pragnienie osobistego awansu, indywidualną zapobiegliwość, potrzebę samorealizacji, niezależności, ambicję. Powyżej stawia „wspólnotę” – to słowo obracane jest na wszystkich partyjnych konwentach – uosabianą przez państwo i jego kierownictwo. To władza ma być dysponentem karier, społecznego prestiżu, dobrobytu. Więc i szkoła, poza dostarczeniem pewnego quantum wiedzy o świecie, powinna być przede wszystkim ośrodkiem wychowania „dla wspólnoty” – formowania postaw patriotycznych, etycznych (religijnych), propaństwowych, konformistycznych. Nauczyciele mieliby być raczej funkcjonariuszami państwa niż „spolegliwymi opiekunami”, przewodnikami dla młodych ludzi, z których powinni wyrosnąć świadomi obywatele i odpowiedzialni dorośli. Złamanie strajku nauczycieli (połączone z czekającą już za progiem „deformacją oświaty”), przybliżałoby zmianę charakteru polskiej szkoły: z liberalnej na narodową, z kształcącej na formującą, z publicznej na rządową. Nie wierzę, aby to się ostatecznie powiodło, ale czekałyby nas kolejne lata konfliktów i degradacji oświaty. Taka jest także stawka obecnego protestu.

Wobec nieustępliwości władz strajk szkolny w obecnej formie zapewne będzie tracił impet. Nie wiem, czy to jest emocjonalnie i organizacyjnie realne, ale wyobrażam sobie, że wobec tego można by było strajk zawiesić – również po to, aby spokojnie przeprowadzić matury – i zapowiedzieć kontynuację od września. Akurat wtedy wywołany przez PiS szkolny kryzys dwóch roczników, więc i desperacja rodziców, sięgną zenitu; zaś do wyborów parlamentarnych zostanie ledwie parę tygodni. I prezesowi woda powyżej nosa. Pewnie po drodze warto by też zorganizować oświatowy, społeczny „okrągły stół” i rozmawiać nie tylko o zarobkach – żeby na wrzesień (i na wyborczy październik) mieć już konkretne propozycje. Widać, że nacisk na PiS może ewentualnie przynieść jakieś doraźne ustępstwa, lecz o przyszłości polskiej szkoły, celach kształcenia, warunkach i sensie pracy nauczycieli zadecydują ostatecznie wybory. Edukacja została przez PiS wpisana do polityki i tego sporu nie da się już od polityki oddzielić.

Jan Koza



© JAN KOZA

Niby-poszukiwania i niby-ułaskawienie

To, co dzieje się wokół Marka Falenty, sprawia wrażenie dziwnej gry prowadzonej przez obecną władzę z reżyserem afery podsłuchowej.

Policja w gruncie rzeczy pozwoliła Falencie wyjechać z Polski. Aby dojść do takich wniosków, wystarczy analiza rozwoju wypadków. 31 stycznia sąd odrzucił wniosek Falenty o odroczenie wykonania kary 2,5 roku więzienia za udział w podsłuchowym procederze z lat 2013–14. Już dzień później do policji poszedł nakaz doprowadzenia go do zakładu karnego. Funkcjonariusze nie zastali go jednak w domu. Podobno sprawdzili nawet szpitale psychiatryczne, ale najwyraźniej niezbyt mocno się przykładali do poszukiwań, bo 21 lutego sąd wysłał ponaglenie. Jak się później okazało, słusznie, bo według „Gazety Wyborczej” od 5 do 13 lutego Falenta przebywał na oddziale wewnętrznym szpitala w Bytomiu. Tam jednak policja nie dotarła na czas, a dopiero 27 lutego wystąpiła o list gończy. Efekt: poszukiwania ruszyły z miesięcznym opóźnieniem. Ale wówczas Falenta przebywał już w Hiszpanii.

W końcu udało się zatrzymać poszukiwanego, minister Brudziński odrząbił sukces, policjanci również. Tylko na razie nie za bardzo jest się z czego cieszyć. Falenta nie trafił jeszcze do polskiego więzienia i nie ma stuprocentowej pewności, że tam się znajdzie. Na razie nie zgodził się na ekstradycję, co oznacza, że hiszpański sąd będzie musiał

rozpoznać jego sprawę i to prawdopodobnie w dwóch instancjach, bo Falenta może odwołać się od wyroku. Oznacza to – nawet przy założeniu, że będzie zgoda na ekstradycję – że biznesmen mógłby wrócić do Polski dopiero w lipcu, ponieważ na podjęcie decyzji sąd ma 100 dni.

Co najdziwniejsze w tej sprawie, to decyzja prezydenta Andrzeja Dudy. Kilka dni po schwytaniu uciekiniera służby prezydentki poinformowały, że Duda na wniosek rodziny Falenty nadał bieg wnioskowi o jego ułaskawienie. Było to o tyle zastanawiające, że prezydent zrobił to w marcu, w czasie kiedy biznesmen był poszukiwany i jasne było, że nie zamierza wykonać ciężkiego na nim prawomocnego wyroku. I choć rzecznik prezydenta twierdził, że to „zwyczaj, standardowa procedura”, Andrzej Duda wcale nie musiał tego robić. Żaden przepis nie obliuguje go do podjęcia decyzji w określonym momencie. Kodeks postępowania karnego reguluje jedynie to, jak należy postępować z wnioskiem o ułaskawienie w tzw. trybie prezydenckim, gdy zostanie uruchomiona procedura. A poza tym prezydent może ułaskawić sam w dowolnej chwili – co pokazał przypadek Mariusza Kamińskiego (choć z prawnego punktu widzenia był niewinny).

Udzielanie aktów łaski to wyłączna prerogatywa głowy państwa.

Dopiero gdy w mediach zawrzało, prezydent zapowiedział, że żadnej łaski w stosunku do Falenty nie będzie. Po co więc to wszystko było? Nie wiadomo. Faktem jest, że procedura trwa, co oznacza, że nad wnioskiem pochylią się sądy obu instancji – okręgowy i apelacyjny – które rozpatrywały sprawę podsłuchową. A co będzie, jeśli jeden z nich wyda pozytywną opinię? Sprawa musi wtedy wrócić do Andrzeja Dudy, który podejmie ostateczne rozstrzygnięcie.

To już drugi wniosek Falenty o ułaskawienie. Pierwszy raz – rok temu – jego bliscy zwrócili się bezpośrednio do sądów, które go skazały. Dawało to gwarancję, że sprawa zostanie rozpatrzona szybko – KPK przewiduje na to dwa miesiące. I tak się stało, ale zarówno sądy pierwszej, jak i drugiej instancji uznały, że biznesmen nie zasłużył na darowanie kary, co automatycznie zamykało drogę całej procedurze.

Falenta ma też na koncie jeszcze dwie sprawy badane przez prokuraturę. Jedna to tzw. mała afera podsłuchowa, w której jest podejrzanym; druga dotyczy posługiwania się sfałszowanym dokumentem – i tu jest podejrzanym. Oba śledztwa trwają już kilka lat, a ich końca nie widać. Wystarczyłoby, że jedno znalazłoby finał w sądzie, a Marek Falenta mógłby trafić do więzienia. No, chyba że nie o to tu chodzi.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

Siostra buduje

W 1987 odmówiono mi wydania paszportu. Chciałem pojechać na Węgry, żeby się spotkać z siostrą, która uciekła z Polski w 1980 r. Dzisiaj jest architektem w Sydney. Rodziców puścili, mnie nie. To mnie wkurzyło do tego stopnia, że postanowiłem poważnie zacząć działać” – mówił Marek Kuchciński w 2006 r. („GW”).

Kiedy w 2015 r. PiS wygrał wybory, młodsza od marszałka o trzy lata siostra Beata po 35 latach wróciła do Polski. Została zatrudniona w PFR Nieruchomości SA. To państwowa spółka zależna od Polskiego Funduszu Rozwoju, którego zadaniem jest „wspieranie rozwoju gospodarczego kraju i podnoszenie jakości życia Polaków”. W PFR Nieruchomości Beata Kuchcińska pracuje od listopada 2017 r. Zajmuje stanowisko głównego konsultanta projektów strategicznych w biurze realizacji inwestycji. Najważniejszym projektem, za który teraz odpowiada, jest gigantyczne osiedle na obrzeżach warszawskiego osiedla Ursynów. Na blisko 15-hektarowej działce rząd chce wybudować swoje **flagowe osiedle w ramach programu Mieszkanie Plus** – na ok. 2,7 tys. mieszkań. Rządzący obiecują, że budowa ruszy w drugiej



połowie 2019 r. „Nasza inwestycja to misja” – chwaliła na spotkaniu z mieszkańcami okolicznych osiedli siostra marszałka. Dodawała, że „to będą mieszkania dla tych, których nie stać na kupno własnego M, a z powodu zbyt wysokich dochodów nie mogą dostać mieszkań komunalnych”.

Beata Kuchcińska skończyła studia z inżynierii na Uniwersytecie Australii Zachodniej. Wiele lat pracowała w prywatnych firmach deweloperskich, a od 1994 do 2003 r. prowadziła własną działalność. Zapytaliśmy

rządową spółkę, dlaczego akurat siostra marszałka Sejmu dostała posadę głównego konsultanta. Odpowiedziano nam, że „jest ekspertem z wieloletnim międzynarodowym doświadczeniem w dziedzinie budowlanej, deweloperskiej, inwestycji, konstrukcji budowlanych i infrastrukturalnych”. Zapewniano też, że zarządzała „licznymi projektami budowlanymi na dużą skalę w Australii oraz na Bliskim Wschodzie”. Jeden z inżynierów, którego także zapytaliśmy o doświadczenie Kuchcińskiej, mówi, że trudno zweryfikować, w jakim zakresie zarządzała wspomnianymi projektami. Architekci, którzy wygrali konkurs na projekt gigantycznego rządowego osiedla na Ursynowie, nie chcą rozmawiać o tym, jak układała się współpraca z rządem. Od osób zaangażowanych w projekt dowiadujemy się jednak, że Kuchcińskiej brakuje doświadczenia w polskich realiach i zarządzaniu takimi projektami: – *Widać, że przez ponad 35 lat pracowała poza Polską. Nie zna realiów polskiej budowlanki i – co bardzo ważne – w obszarze zbierania dokumentacji do budowy. Często brakuje jej polskich słów, technicznych terminów. Wygląda tak, jakby chciała wrócić do Polski i partia brata załatwiła jej projekt do poprowadzenia.*

To chyba w PiS reguła, że „polityczną” deweloperką zajmują się członkowie rodzin panujących. (DAB.)

© PRZEMEK WIERZCHOWSKI/AGENCJA GAZETA



Tak idzie ta gra

W każdej partii tkwi większy lub mniejszy pierwiastek samobójczy, dla niepoznaki określany przez jej członków jako godność, honor i tożsamość.

Nauczyciele ogłosili spór zbiorowy z rządem 10 stycznia 2019 r. Swoją „piątkę” Kaczyński ogłosił 23 lutego. Rząd miał więc półtora miesiąca na uwzględnienie w „piątce” potrzeb nauczycieli. Nie zrobił tego, rozdał 45 mld zł i beczelnie oświadczył, że pieniądze „wyszły”, a budżet nie jest z gumy. Cynizm – nawet jak na ten rząd – wyjątkowy.

Od lat nie chadzam na konwencje partyjne, ale dwa tygodnie temu zrobiłem wyjątek i wziąłem udział w głównej konwencji Koalicji Europejskiej na warszawskim Żeraniu. Dlaczego? Odpowiedzią jest fragment mojego felietonu zamieszczonego na łamach POLITYKI w marcu 2017 r., a zatytułowanego „Wszystko (prawie) w rękach Schetyny” (POLITYKA 9/17): „Z PiS można wygrać, ale tylko działając wspólnie. Wystawiając wspólne listy, a w wyborach większościowych – wspólnych kandydatów. (...) Partyjne partykularyzmy potrafią zniszczyć najbardziej oczywiste porozumienie – i wszyscy przegrają. (...) Na Platformie spoczywa największa odpowiedzialność (...) za przedwyborcze porozumienia. Ta rola – rola lidera – wymaga samoograniczenia i poszanowania mniejszych partnerów, którzy z kolei muszą przyjąć do wiadomości swój mniejszościowy status. To trudne, ale stawką po raz pierwszy od 1989 r. nie jest zwykłe przejście władzy, ale pokonanie autorytaryzmu i uchronienie Polski przed marginalizacją”.

Wiem, że publiczne zachwywanie się własną przenikliwością to przypadłość zawstydzająca i pragnę zapewnić Czytelników, że bardzo się wstydzę. Jedyne, co mnie usprawiedliwia, to fakt, że po dwóch latach postulowania i uzasadniania potrzeby wyborczego porozumienia demokratycznej opozycji koalicja taka wreszcie powstała, a i tytuł felietonu się sprawdził. Wbrew bowiem temu, co czytam w wielu komentarzach, największego problemu nie stanowiło bynajmniej przyciągnięcie na wspólne listy mniejszych partii, ale zrobienie dla nich miejsca przez samoograniczenie się Platformy Obywatelskiej. Osobny start Nowoczesnej czy Zielonych nie dawał im przecież żadnych szans na sukces, a co do lewicy i ludowców, to choć dysponują większym poparciem, gwarancji samodzielnego przekroczenia progu też nie mają. Jednocześnie powinno więc pójść gładko, jest wszakże jeden problem: w każdej partii tkwi większy lub mniejszy pierwiastek samobójczy, dla niepoznaki określany przez jej członków jako godność, honor i tożsamość. Wartości te pozostają nienaruszone, jeśli partia wiodąca odstąpi mniejszemu koalicjantowi odpowiednią liczbę dobrych miejsc na wspólnych listach wyborczych – z reguły większą, niż wynikałoby to z jego rzeczywistej siły. Jeśli nie – dotknięty na honorze, godności i tożsamości koalicjant może zadeklarować osobny start, nawet jeśli wie, że z honorem i godnością polegnie. Tak właśnie idzie ta gra.

Dlaczego więc tym razem się udało? Bo Grzegorz Schetyna, o co wcześniej mało kto go podejrzewał, potrafił się cofnąć. Nie spotkały go za to w PO oklaski, ale dzięki temu powstała Koalicja Europejska. Nie znaczy to, że skończyły się kłopoty, ale o tym kiedy indziej.

Wracając do samej konwencji, została dobrze przygotowana i sprawnie przeprowadzona. Wszyscy mówcy starali się nawiązywać do wiodącego hasła Koalicji: „Przyszłość Polski. Wielki wybór” i na przykładach udowadniać, na czym w istocie

ten wybór polega. Jak dla mnie, palma pierwszeństwa należy się Włodzimierzowi Czarzastemu za „wybór między tymi, co książki palą, a tymi, którzy je czytają”. Choć z drugiej strony hasło to może nie przemówić do 60 proc. rodaków, którzy – jak wykazały opublikowane niedawno badania – w ubiegłym roku nie przeczytali żadnej książki.

Poza tym dużo i źle mówiono o partii prawych i sprawiedliwych, co nie dziwi, bo powody są. Z tego chóru krytyków wyłamała się niespodziewanie Janina Ochojska, proponując, aby „nie mówić o PiS-ie, bo nie warto”, ale rozmawiać o 10-punktowym europejskim programie Koalicji. Program rzeczywiście sympatyczny, ale ta batalia, Szanowna Pani Janko, nie będzie bitwą na programy ani nawet na kompetencje kandydatów, ale właśnie na emocje – czyli kto bardziej przeciwnika przydusi i odbierze mu tlen. Smutne, ale co poradzić?

Wiosna, ach to ty!” – śpiewał Marek Grechuta, a z nim kilka tysięcy uczestników założycielskiej konwencji Roberta Biedronia. Konwencja była świeża, sympatyczna i energetyczna, wiosenne słończko grzało mocno i przyjemnie. Minęło kilka tygodni i nie jest już tak fajnie. Buńczuczne zapowiedzi „Będę premierem” i „Celujemy w 20 proc.” uciły, sondaże są bardzo niestabilne (od 4 proc. do 14 proc.), a stwierdzenie Biedronia, iż w wyborach do Parlamentu Europejskiego liczy na cztery mandaty, zaś sukcesem będzie zdobycie sześciu miejsc, oznacza, że spodziewa się poparcia w granicach 7 proc. Obawiam się, że i tego może nie być, jeśli w dalszym ciągu kampania będzie głównie polegała na kopaniu po kostkach Koalicji Europejskiej. Rzecz w tym, że potencjalni wyborcy Wiosny mogą alternatywnie głosować na KE i źle przyjmują opowieści o „leśnych dziadkach” czy atak pani Spurek (skądinąd zasłużonej dla obrony praw obywatelskich) na europosłankę SLD Krystynę Łybacką („nic tam nie robi”), która właśnie została wybrana przez europarlament na najlepszą posłankę w dziedzinie edukacji!

Robertcie i Wiosno, nie idźcie tą drogą! Głoście i trzymajcie się tego, w czym jesteście najbardziej wiarygodni: walki o świeckie i niedyskryminujące państwo.

Prezes znów straszy wprowadzeniem waluty euro. Liczy na polemikę i nowe podziały. Proponuję nie podejmować dyskusji. Gdy nie ma dopływu zainteresowania, prezes usycha.

W naszym nieustającym konkursie o tytuł „Idiotyzmu Miesiąca” jak zwykle tłoczno od kandydatów. Jeden z nich wszakże wyraźnie zdominował konkurencję. To bliżej nieznanym, skromnym i docieklwym pracownikiem TVPiS, który specjalnie dla „Wiadomości” dokonał wstrząsającego odkrycia. Po ogłoszeniu, że rząd PO-PSL ukradł VAT w kwocie 250 mld zł, wydawało się, że nic gorszego poprzedniego rządu spotkać już nie może. A tu proszę: „Wiadomości” oświadczyły, że każde polskie dziecko straciło 48 tys. zł, a to dlatego, że rząd PO-PSL od początku swojej kadencji... nie wprowadził 500+! Organizatorzy konkursu podejmują starania, aby puchar i dyplom autorowi tej wiadomości wręczył osobiście minister Marek Suski, który w tym konkursie zwyciężał już wielokrotnie.



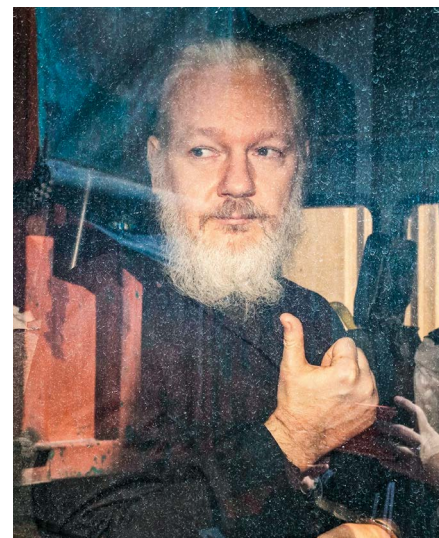
© AP/EAST NEWS

Samotność hakera

Julian Assange trafił w ręce brytyjskiej policji. Po siedmiu latach z okładem Ekwidora wyprosił twórcę demaskatorskiego serwisu WikiLeaks ze swojej londyńskiej ambasady. Teraz australijski haker spróbuje powstrzymać ekstradycję do Stanów Zjednoczonych. Amerykańscy prokuratorzy stawiają mu zarzut współuczestnictwa we włamaniu do rządowych komputerów, za co grozi stonkowo łagodna kara 12 miesięcy pozbawienia wolności. Assange uważa, że to tylko pretekst do zemsty za opublikowanie milionów niejawnych dokumentów, w tym raportów wojska USA, zawierających dowody na popełnione zbrodnie m.in. w Iraku, a także materiały kłopotliwe dla dyplomacji czy korespondencję sztabu Hillary Clinton z okresu ostatnich wyborów prezydenckich.

Rozstrzygnięcie brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości – wydawać hakera czy nie – wcale nie da odpowiedzi, kim Assange jest i za kogo go uważać. Obsadził się w roli dziennikarza i wydawcy publikującego tajemnice. Twierdzi, że pełna jawność chroni obywatela przed niebezpieczeństwem tyranii. Jednak niektóre reżimy wołał od innych. Nie brał na celownik np. Chin czy Rosji, jego publikacje były im na rękę, współpracował też z kremlowską propagandą. Oskarżano WikiLeaks o amatorszczyznę i narażanie osób wymienianych w publikacjach. Assange ostrzegł przed „głębokim państwem”, tropił spiski i z pośrednika stawał się częścią historii, z biegiem czasu coraz bardziej zagmatwanej.

Sekrety obnażone przez jego serwis nie przełożyły się na jakąś fundamentalną zmianę polityki czy strategii, choć m.in. mogły pomóc wygrać Donaldowi Trumpowi i prawdopodobnie były katalizatorem arabskiej wiosny. Niewątpliwie wpłynęły też na *zeitgeist* obecnej dekady, naznaczonej intensywnością, z jaką technologie komputerowe wnikają w życie społeczeństw.



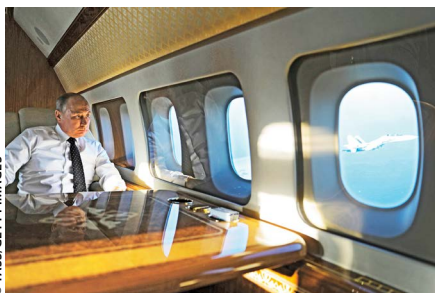
© EAST NEWS

Cień Salviniego

Matteo Salvini buduje sojusz radykalnych sił europejskich.

Po styczniowej wizycie **Matteo Salvini** na Nowogrodzkiej jeden z gospodarzy tłumaczył nam, jaki jest problem z Włochem: Facet tak promieniuje medialnie, że trudno obok niego zaistnieć. W ubiegłym tygodniu było podobnie. Do Mediolanu na zaproszenie włoskiego wicepremiera mieli przyjechać liderzy skrajnej prawicy z całej Unii. Ale przyjechali tylko ci, którym kalkulowało się ogrzać w blasku Salviniego. Nie było Marine Le Pen (choć zadeklarowała, że popiera inicjatywę), Viktora Orbána, nie mówiąc już o Jarosławie Kaczyńskim. Salvini brylował: ogłosił powstanie sojuszu, który według niego wygra eurowybor.

Sondaże nie są już jednak tak optymistyczne jak Salvini. Przy planie minimum, zakładającym, że obok Włochów wystartuje Le Pen oraz obecni w Mediolanie Finowie i Duńczycy, koalicja ma szansę na ponad 60 mandatów w 705-osobowym europarlamencie (licząc już bez Brytyjczyków). Plan maksimum, m.in. z Orbánem i Kaczyńskim, może oznaczać ponad 100 mandatów. Teoretycznie taka siła byłaby już w stanie blokować wiele inicjatyw w europarlamencie. Ale to plan nie do zrealizowania – zbyt dużo jest różnic. Choćby imigranci: Włosi chcą ich przymusowej redystrybucji w Unii, Kaczyński i Orbán nie chcą o tym słyszeć. Rząd, którego filarem jest Salvini, szykuje na następny rok budżet z ogromnym deficytem, co skrajną prawicę z północy kontynentu, w swojej masie fiskalnie konserwatywną, doprowadza do drgawek. Jakby tych problemów było mało, Salvini i spółka jako nazwę dla nowej koalicji zaproponowali Europejski Sojusz dla Ludzi i Narodów.



© TASS/GETTY IMAGES

Akcja dezorientacja

Rosja podrabia sygnały nawigacji satelitarnej, robi to na dużą skalę, coraz sprawniej i m.in. w celu ochrony miejsc, w których przebywa prezydent **Władimir Putin**. Choćby po to, by w bańce błędnych współrzędnych gubiły się

samoloty bezzałogowe; prawdopodobnie głównie cywilne, bo te są łatwiejsze do zmylenia niż sprzęt wojskowy, korzystający z innych częstotliwości i szyfrowanej komunikacji. Waszyngtoński ośrodek analityczny C4ADS poświęcił rok na zebranie dowodów potwierdzających proceder oglupiania urządzeń GPS nieprawidłowymi danymi. Stwierdzono blisko 10 tys. przypadków podrabiania sygnału, które zbiegały się z wizytami Putina m.in. na Krymie, w Archangielsku czy Władystoku. W podobny sposób chronione są obiekty w Moskwie, Petersburgu i nad Morzem Czarnym oraz jednostki wojskowe w Syrii. Większość incydentów dotyczyła statków morskich przebywających zarówno na wodach rosyjskich, jak i w ich okolicach. Załogi, polegając na nieprawdziwym sygnale, nieprecyzyjnie określały położenie, co groziło kolizją z innymi jednostkami lub brzegiem.

Nowe Termopile

Wbijanie łopaty w Grecji bywa ryzykowne, bo zawsze można się natknąć na starożytność i biurokrację. Tym razem przekonali się o tym Chińczycy. W 2016 r. kontrolowana przez chińskie państwo spółka logistyczna Cosco kupiła większość udziałów w greckim porcie w **Pireusie**. To drugi największy pod względem przeładunków port na Morzu Śródziemnym, zaraz po Walencji. Inwestycja jest kluczowym elementem wielkiego chińskiego projektu „Jeden pas, jedna droga” – po rozbudowie port w Pireusie ma być hubem, przez który do całej Europy trafiać będą chińskie towary, dostarczone tam wcześniej na statkach przez Kanał Sueski. Pekin sówicie wsparł Ateny w momencie największego kryzysu gospodarczego i liczył na wzajemność. I tak się stało np. w 2017 r., gdy Grecja samotnie zablokowała unijną rezolucję potępiającą łamanie praw człowieka w Chinach.

Na razie jednak ponad połowę chińskich inwestycji w porcie, m.in. nowe centrum logistyczne, cztery hotele i centrum handlowe, zablokował grecki urząd archeologiczny. Tłumaczenie jest standardowe – inwestycja zagraża nieodkopanym jeszcze zabytkom – i jednocześnie trudne do zweryfikowania,



© GETTY IMAGES

bo taki zakaz mógłby równie dobrze dotyczyć całego terytorium Grecji. Miejscowa prasa pisze jednak, że za zakazem stoją lokalne władze, którym nie podobają się plany budowy hoteli i centrum handlowego. A w maju Grecy będą głosować w wyborach lokalnych, więc władze mają motyw. Czy więc Pireus będzie nowymi Termopilami i Grecy znów obronią Europę przed inwazją ze Wschodu? Lokalna prasa twierdzi, że w tym wypadku chodzi jednak o wymuszenie dodatkowych kilkuset milionów euro z Pekinu.



© REUTERS/FORUM

Do czterech razy sztuka?

Sudan w ciągu trzech dni trzy razy zmienił głowę państwa i nie wiadomo, czy do ukazania się tego numeru POLITYKI nie zrobi tego po raz czwarty. W zeszły piątek wojsko zmusiło do rezygnacji Omara Baszira, który rozpoczął rządę w wyniku zamachu stanu równo 30 lat wcześniej. Jego obowiązki przejął dotychczasowy minister obrony, ale w ciągu

24 godzin sam musiał złożyć dymisję i został zastąpiony przez szefa sił lądowych. Natychmiast po telewizyjnym przemówieniu tego ostatniego zebrani w Chartumie demonstranci zaczęli się domagać oddania władzy w ręce cywilów.

Wściekli Sudańczycy wychodzą na ulice stolicy i innych miast już od połowy grudnia. Początkowo z powodów ekonomicznych. Rząd skasował dopłaty do pszenicy i ceny chleba podskoczyły o jedną trzecią, a kraj od dawna zmagając się z coraz większym kryzysem gospodarczym: rośnie bezrobocie, inflacja sięga już 72 proc. Hasła szybko przybrały jednak wymiar polityczny, na czele z żądaniem ustąpienia Baszira – od 2008 r. jedynej głowy państwa na świecie ściganej listem gończym przez Międzynarodowy Trybunał Karny (za inspirowanie ludobójstwa w Darfurze oraz na południu kraju).

Choć demonstrantom udało się doprowadzić do jego upadku, a także wymusić dymisję jego następcy (przez lata jednego z najbliższych współpracowników), to może być za wcześnie na świętowanie. W przeszłości Sudańczycy dzięki niemal identycznym ulicznym wystąpieniom obalali autorytarne reżimy w Chartumie w 1964 i 1985 r., ale po krótkim flircie z demokracją władzę znów przejmowali generałowie – ostatnio właśnie obalony Baszir.

9 EDYCJA

MUD MAX

01.06.

DOLINA CHARLOTTY

12KM

40 PRZESZKÓD

Specjalna Edycja

MUD MAX KIDS

ZAPISY NA WWW.MUDMAX.PL

Sponsorzy i Patroni Medialni:



Protestujący nauczyciele
z LO Mistrzostwa
Sportowego
w Poznaniu.



Długa przerwa

Rząd ani myśli ustąpić. Władza liczy, że rodzice zmęczą się strajkiem, a nauczyciele pod ich presją w końcu odpuszczą.

JOANNA CIEŚLA, RYSZARDA SOCHA

Jedno jest pewne. W proteście nauczycieli już dawno nie chodzi tylko o edukację. We wszystko wchodziła się duża polityka. Od początku kryzysu PiS zamawia szczegółowe sondaże. To one w dużym stopniu decydują o tym, jak gra rząd. Na razie – jak wynika z naszych źródeł – mimo strajku w szkołach wyborcy nie odwracają się od PiS. Z drugiej strony także nauczyciele nie tracą sympatii. A więc w nastroszach pat.

– Dla nas to nie jest zbyt wygodne – przyznaje polityk PiS, który zastrzega anonimowość. – Widać, że strajk nie zmniejszył nam poparcia. Z drugiej strony ludzie przy świątecznym stole, zamiast o piątce Kaczyńskiego, będą mówili o proteście i bałaganie w szkołach.

Władza zakładała, że rodzice, zwłaszcza ci młodszy, bezpośrednio dotknięci szkolnym zamieszaniem, będą bardziej niechętni szkolnemu protestowi niż osoby starsze. Z ogólnodostępnych danych wynika jednak, że matki i ojcowie uczniów są strajkom nauczycieli ponadprzeciętnie przychylni. Według kwietniowego badania CBOS popierał je co drugi wobec 44 proc. ogółu Polaków. Znaczenie ma też jednak wykształcenie i podział miasto–wieś. Nauczyciele z Podkarpacia, gdzie miast jest mało, a PiS jest silny, częściej niż inni skarżą się na wyrzuty rodziców i dziadków uczniów.

W bilansie sympatii do nauczycieli przeprowadzone egzaminatory zagrały na plus. Utwierdziły w poparciu dla protestu część rodziców, którzy wcześniej mieli mieszane odczucia. Za to wbrew rządowemu przekazowi o „krzywdzie dzieci”

żaden z kilkudziesięciu odpytanych przez nas gimnazjalistów nie czuł się zestresowany przez niepewność, czy jego egzamin dojdzie do skutku. Zapowiedź ewentualnego zahamowania klasyfikacji maturzystów budzi gorętsze emocje. W analizie strajkowych zysków i strat rzadko uwzględnia się natomiast fakt, że 5 mln uczniów przez tydzień nie miało lekcji. I że większość z nich w kolejnych dniach nadal nie będzie ich miała.

Tymczasem w szkołach widać narastające zmęczenie. W podstawówce w Goleniowie, gdzie do strajku wystartowało ponad 80 proc. kadry, na razie z dnia na dzień przybywa tych na zwolnieniach lekarskich. Najpierw biolożka wyznała, że w nocy strasznie źle śpi. To było w czwartek, czwarty dzień nauczycielskiego strajku. Geograf westchnął: „Szkoła bez uczniów jest smutna i nudna”. A potem ktoś mruknął, że może by przejść na protest rotacyjny. Iles głosów napadło: „No co ty?!”. Ale w niektórych ludziach tamto zdanie zostało. To może znaczyć, że kadra nauczycielska zaczyna myśleć o złagodzeniu protestu.

Rządzący na to liczą. A także na to, że morale w strajkujących szkołach osłabi propagandowy atak mediów publicznych i rozbuchany hejt w społecznościowych serwisach. Na nauczycielskich grupach podejrzliwość budzi każdy dwuznaczny wpis, za każdym może kryć się troll. Po pierwszym tygodniu strajku ostro widać, że wyklarował się on w emanację politycznej wojny – władza kontra szeroki antypisowski front.

Bilans tej rozgrywki dla poszczególnych aktorów też powoli zaczyna się rysować. Choć początkowe wydarzenia można było odebrać jako napad piramidalnej schizofrenii. Samorządowcy popierający postulaty nauczycieli wytrącali im główną kartę przetargową, organizując kolejne egzaminy. Podobnie dyrektorzy szkół. Protestujący nauczyciele raportowali na dwa głosy: że nie przeprowadzą egzaminów, ale że kibicują uczniom. Rodzice, choć spodziewano się ich złości, przynosili strajkującym pączki. Rząd mówił, że jest gotów do rozmów, ale uparcie przedstawiał protestującym jedną i tę samą nieakceptowalną dla nich ofertę.

Wójt waży racje

W poniedziałek 8 kwietnia strajk nauczycieli domagających się podwyżek pensji zaczął się w ponad 15 tys. szkół i przedszkoli. Według Związku Nauczycielstwa Polskiego to prawie 74 proc. wszystkich placówek. Dwa dni później, w środę, w 7,3 tys. gimnazjów rozpoczął się egzamin. Nie wystartował planowo ledwie w trzech szkołach. W kolejny poniedziałek, 15 kwietnia, egzamin ósmoklasisty we wszystkich 12,7 tys. podstawówkach ruszył o czasie.

Już w pierwszym dniu egzaminów gimnazjalistów Anna Zalewska ogłosiła, że rząd osiągnął sukces. – *To wystąpienie szefowej MEN niektórzy uznali za komiczne, inni jednak się wściekli* – mówi Krzysztof Kosiński, sekretarz Związku Miast Polskich, prezydent Ciechanowa. I podkreśla, że sukces rządu to żaden – egzaminy przeprowadzono nakładem sił i środków samorządowców i dyrektorów szkół. W Ciechanowie skompletowano zespoły do pilnowania zdających bez zaciągu leśników i strażaków z papierami pedagogów. Ci nader często byli w ofercie kuratorów, które miały pomagać w razie kłopotów z organizacją testów.

W niektórych gminach wójtowie sami wydzwaniali do pracujących w szkołach kolegów po prośbie, by przyszli do nieobsadzonych szkół. Krzysztof Kosiński tłumaczy: – *Zależało nam na znalezieniu rozwiązań, które nie będą negatywnie wpływać na dzieci. Odeszliśmy od politycznego myślenia: „Zróbmy na złość rządzącym i nie przeprowadźmy egzaminów”*. Inni wyznają na offie, że polityka w tych analizach też była: obawa, że PiS wykorzysta złość rodziców na odłożenie egzaminów do nagonki na samorządy. Dlatego nawet w najbardziej opozycyjnych wobec władz centralnych miastach rosła mobilizacja.

Wielu wójtom było jednak trochę nieswojo, z tym większą siłą ruszyły więc rozważania, jak tu protestujących przynajmniej

finansowo nie złać, mimo strajku zapłacić normalne pensje. – *W drugim dniu egzaminów przyjechał do nas burmistrz, wyraźnie w obawach, jak go potraktujemy* – opowiada strajkująca nauczycielka z Zachodniopomorskiego. – *Tłumaczył się, że według przekazu MEN nie może wypłacić nam pełnej pensji. Ale też prosił, abyśmy dali znać do urzędu, jeśli dowiemy się o furtkach, które by na to pozwalały*. Krzysztof Kosiński, z wykształcenia prawnik specjalizujący się w prawie pracy, zapewnia, że takie furtki są. Wystarczy zawrzeć porozumienie związków zawodowych z dyrektorem szkoły o wypłacaniu wynagrodzenia za strajk. W Ciechanowie na 13 szkół i przedszkoli, które przystąpiły do strajku, porozumienia podpisano w 12. Na razie lokalny polityczny bilans jest więc na plus: zadowoleni są i rodzice przeegzaminowanych uczniów, i nauczycielskie rodziny.

Dyrektor wstrzymuje oddech

Rafał Juszczyk, dyrektor gimnazjum w Kosakowie pod Gdynią, siedział przez dwie noce i dwa dni, próbując skłecić komisje nadzorujące. Na 170 jego egzaminowanych ponad 70 ma dysleksję, depresję, autyzm, afazję. Potrzebują osobnych sal, osobnych nadzorujących. A w Kosakowie strajkuje całe grono z wyjątkiem katechetek. Rafał Juszczyk też by strajkował, gdyby nie był dyrektorem. W jednej ze szkół z pobliskiej Rumi dyrektorka w przeddzień egzaminów zasłała, zabrała ją pogotowie. – *Najbardziej niszczącą psychicznie – mówi Juszczyk – był brak informacji, co by było, gdyby ten egzamin się nie odbył*. Gdynia zamierzała komisje nadzorujące stworzyć. A dzieci z Kosakowa idą do szkół w Gdyni. Zostałyby bez testów, gdy te z Gdyni miałyby wszystko, co trzeba.

Jeszcze o godz. 10.00 we wtorek dyrektor Juszczyk uprzedzał uczniów, że egzaminu raczej nie będzie. O tym, że jednak będzie, część dzieciaków dowiedziała się o 21, na 12 godzin przed testem. Przeprowadzono go w 10 salach, pod nadzorem 23 osób w komisjach: księża, katechetki, nauczycielscy emeryci i matki, które mają przygotowanie pedagogiczne, ale nie pracują w szkole: pani architekt, rusycystka z własnym biznesem. Dyrektor mówi, że stał się cud.

Jacek Rudnik z zarządu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty obawia się, że z podobnych cudów mogą być jeszcze kłopoty: – *W moim przekonaniu rozporządzenie dopuszczające powoływanie do komisji egzaminacyjnych osób posiadających uprawnienia pedagogiczne, które nie są zatrudnione w żadnej szkole, to bubel prawny. I MEN chyba ma tego świadomość, bo w Systemie Informacji Oświatowej pojawił się komunikat, że te osoby jednak powinny być pracownikami jakiejś placówki oświatowej. Co z tego wynika? Rodzic ucznia w przypadku udziału w zespole nadzorującym egzamin osób nieuprawnionych może złożyć skargę nie tylko do Centralnej Komisji Egzaminacyjnej, ale także do sądu czy prokuratury o niedopełnienie obowiązków przez dyrektora*.

Na razie mało kto wybiega tak daleko myślą. W międzyczasie pojawiły się za to informacje o kuratorskich groźbach wobec dyrektorów szkół średnich, w których nie doszłoby do klasyfikacji maturzystów. Nauczyciele w czasie strajku mogą nie zwołać rad pedagogicznych, a to jest niezbędne do klasyfikacji i przystąpienia do matur. Urzędnicy dolnośląskiego kuratorium mieli zapowiadać, że polecą za to głowy. Dla dyrektorów bilans strajkowej rozgrywki jest – i długo pozostanie – najbardziej wątpliwy.

Matki malują banner

Pilnujące egzaminowanych mamy z Kosakowa mają dzieci, które uczą się w szkołach podstawowych. Liczyły na solidarność innych rodziców, kiedy przyjdzie pora na egzamin w podstawówkach. Wszystkie popierały strajk.

W największej stołecznej szkole, przy ul. Lokajskiego na Ursynowie, na zebraniu Rady Rodziców dwa tygodnie ►